Rok XXIV. Styczeń i Luty 1900. Nr. 1. i 2.



Wychodzi we Lwowie z końcem każdego miesiąca. Wkładka roczna z prenumeratą wynosi 2 k. 40 h. Dla nauczycieli Tow. i uczniów tylko 1 k. 40 h. z przesyłką 1 k. 64 h.

MIESIĘCZNIK
galicyjskiego
TOWARZYSTWA OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracya i ekspedycya we Lwowie pl. Bernardyński 7. dokąd wszystki pisma — zaś wkładki i prenumeraty adresować należy: Adolf Mussil ul. Kar. Ludwika 7

Organ galicyjskiego i krakowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt.

Redaktor: Dr. Józef Limbach.

ROK 1900.

Rok 1900. jest rokiem przejściowym. Jedni uważają go za rok kończący XIX. stulecie, a inni za początkowy XX. Chociaż słuszność matematyczna po stronie pierwszych, to drogą przyzwyczajenia zwyciężają drudzy i coraz więcej zwolenników mają. Bądź co bądź — rok ten dla nas będzie miał doniosłe znaczenie, bo w tym roku w porze letniej zbierze się w Paryżu kongres wszystkich europejskich i pozaeuropejskich towarzystw ochrony zwierząt. Podniosła idea ochrony zwierząt znajdzie tam wyraz wobec całego świata, bo wystawa tegoroczna, kończąca stare, czy też inaugurująca nowe stulecie będzie punktem przyciągającym dla setek, a setek tysięcy ludzi, którzy tam zjeżdżać się będą, by podziwiać wyniki cywilizacyjne XIX. wieku. Uchwały, które na tym kongresie zapadną, będą miały wprawdzie akademickie tylko znaczenie, bo towarzystwa nasze nie mają żadnej władzy wykonawczej, ale szerokiem echem odbijają się po całym świecie i wykażą żywotność naszą.

Na początku XIX. stulecia głucho jeszcze było o ochronie zwierząt. Wprawdzie dawno minęły te czasy, gdzie zwierzęta,

uważając je na równi ze zbrodniarzami, karano śmiercią, za przestępstwo, za które ludziom śmierć wymierzano, ale oddane samowoli ludzi nieokrzesanych, ludzi, którzy dla swych bliźnich litościwym być nie umieli, cierpiały nieraz męki, a okrucieństwa na nich popełniane nie raziły, bo tyczyły istot bezdusznych. Dziś, jak wielka przepaść dzieli nas od tych czasów. Setki towarzystw ochrony zwierząt objęły świat cały, zwierzę nie jest teraz pozbawione swych praw; w ustawodawstwach znajdujemy paragrafy, biorące je w swą opiekę— dalekim jest człowiek od tego, by siebie uważał za wyłącznego pana całego stworzenia, wie on teraz, że i zwierzę, również jak i on stworzenie Boskie, ma pewnę prawo do życia, a przynajmniej do życia bez cierpień i do bezbolesnej śmierci.

I u nas jest postęp w tym kierunku. Towarzystwo ochrony zwierząt warszawskie, lwowskie i krakowskie działają zbawiennie w raz obranej drodze, chroniąc zwierzęta przed prześladowaniem, popierając chów pożytecznych, oświecając lud w tym kierunku.

Nasze gal. towarzystwo ma trudne zadanie, musi walczyć nietylko z nieświadomością, ze złą wolą, ale co gorsze i z obojętnością większej części ogółu. Wiele u nas jeszcze jest do zrobienia. Jak we Lwowie pod tym względem wygląda, mieliśmy niedawno na tym miejscu sposobność wyłuszczyć, w dalszym ciągu tego artykułu zastanowimy się, co na prowincyi jest do zdziałania.

Rok ten rozpoczęliśmy pod dobrą wróżbą. Widząc, jak powoli nasza idea przesiąka w szersze warstwy, jak powoli powstają filie tak potrzebne, postanowiliśmy przez mianowanie delegatów w różnych miejscowościach, dać impuls do żywszego działania i dać sposobność do utworzenia nowych lii. Mamy już takich delegatów około 30. Liczba dosyć pokaźna. Jesteśmy przekonani, że nie jedna miejscowość rozbudzona sprężystą działalnością delegata zmieni się wkrótce w nową filię.

Czasem delegat zwraca się z zapytaniem, co on właściwie ma robić. Oto przy tej sposobności w krótkich słowach nakreślimy, jakim to rzeczom przeciwdziałać i zapobiegać na prowincyi potrzeba. W pierwszym rzędzie zwracają w małych miasteczkach uwagę miłośnika zwierząt konie pociągowe

których stan urąga wszelkim uczuciom ludzkości. Zbiedzone, chude tak, że wszystkie żebra im policzyć można, nieraz strasznie pokaleczone ciągnąć muszą wozy naładowane nad ich siły. Nielitościwy woźnica biczykiem okładając je niemiłosiernie, zmusza do wytężenia ostatnich sił. Tu wkroczyć, tu pouczyć, dobrocią działać należy, a gdy to nie pomoże, użyć groźby i nie ociągać się z wykonaniem tejże. Woźnica taki musi złożyć część ciężaru na drodze, lub też zaprzęgnąć do wozu jeszcze jednego konia, — w razie nieposłuszeństwa trzeba zawezwać pomocy władzy, a magistrat powinien ukarać karygodnego. Wiemy z doświadczenia, że wieśniacy, a osobliwie żydzi oburzają się, gdy im się robi odpowiedne uwagi, że nawet rozpoczynają szkalować interwencyjącego, a zawezwany policyant często staje po stronie obwinionego, nie widząc nic złego w katowaniu konia, a co gorsza, że i wójt, a nawet czasem i burmistrz nieuważa w tem nic karygodnego. Wtedy nie pozostaje nic innego, jak tylko fakt cały podać do naszej wiadomości. Wtedy towarzystwo nasze wkroczy i za pomocą wyższych władz osiągnie satysfakcyę i pouczenie wójta, lub magistratu.

Wiemy, że bardzo często winne są pośrednio niektóre władze, że konie bywają maltretowane, a to dlatego, że nie uważają na zły stan niektórych dróg. W niejednej miejscowości tak straszne są błota i wyboje po drogach, że one na każdą inną nazwę zasługują, tylko nie na nazwę dróg. Koła nieraz, dosłownie biorąc, zapadają w błocie po osie, a wyciągnąć wóz koń musi. W takich razach wiele dobrego delegat zrobić może. Gdy prośby o naprawę drogi nic nie pomogą, pomogą częste wzmianki w dziennikach, a o wzmianki postaramy się, gdy tylko dojdzie nas o tem wiadomość.

Wprawdzie konie są wystawione na największe męczarnie, ale są i inne zwierzęta, opieki nie mniejszej potrzebujące, tem bardziej, że męczarnie ich nie tak bardzo wpadają w oko. Wystarczy przejrzeć się targowi w małem miasteczku. Żydzi, sprzedający drób, są mistrzami w dręczeniu tegoż. Proszę tylko popatrzyć na kojce, mające tylko pręty zamiast dna, jak są małe i nizkie, a ile tam kur, lub kaczek jest napchanych. Formalnie duszą się tam, silniejsze depcą po głowach słabszych, każda przez szczeble wystawia głowę, a otwarte dzióby wskazują na pragnienie, a gdy zapytasz,

dlaczego im wody nie podadzą, to otrzymasz odpowiedź, że te na sprzedaż, więc nie potrzeba. A ileż to razy zobaczyć można, gęsi za nogi i skrzydła powiązane, jak je zawieszone na drążku głowę na dół niesie żyd do rzeźni. Interpeluje go, dlaczegotak je męczy, to usłyszysz, że to można, bo przecież one i tak zabite będą. A szechtery żydowscy w małych miasteczkach! Jak ci obchodzą się z drobiem, to aż mrowie przechodzi na samą myśl, co one wycierpieć muszą. Sami widzieliśmy nieraz, jak niesiono ze rzeźni gęsi zarżnięte, a właściwie niedorżnięte, które w ostatnich konwulsyjnych drgnieniach rzucały się w ręku niosącego, „tak być musi, tak szechter zrobił, a on wie, co dobre i co prawo nakazuje“, była odpowiedź jednego, gdy go z takim strasznym ciężarem nadybano. Tu sam delegat nie pomoże, o takich wypadkach, trzeba wydział uwiadamiać, a ten przedsięweźmie stosowne kroki.

Wieśniacy nasi lubią gęsi podskubywać, operacya bolesna, odbijajaca się przez dłuższy czas na zdrowiu gęsi, które chudnieją i dłuższego czasu potrzebują, by znowu przyszły do siebe. Rzecz delegata jest zapobiegać temu przez stosowne pouczanie, bo niestety bezsilne nasze towarzystwo wobec tego.

Jak wyglądają stajnie po wsiach i małych miasteczkach, to każdy z nas wie dobrze, jak to wpływa na zdrowie zwierząt w nich trzymanych, nie potrzeba wyjaśniać, lecz cóż mogą członkowie towarzystwa zrobić w tym względzie, jeżeli nieraz i mieszkania ludzkie w nielepszym stanie się znajdują. Ale przynajmniej niechaj biedny pies łańcuchowy ma jaką taką budkę, by przed słońcem i deszczem mógł się schronić, niechaj pan jego pamięta o nim, by miał w lecie miseczkę z wodą i by nie cierpiał głodu, tu już interwencya delegata może być skuteczną. Także na rakarza w małych miastach baczne należy mieć oko, bo nieraz na żądanie członków musiał wydział występywać przeciw bezprawiom, które mu i w większem mieście uchodziły.

Baczne oko delegata może jeszcze i inne nieprawidłowości odkryje. Wójt, magistrat, żandarm powinni iść z pomocą.

Im więcej członków w danej miejscowości uda się delegatowi zyskać, tym skuteczniejsza może być kontrola. Dla ułatwienia wspólnej pracy zezwala nasz statut tam, gdzie więcej niż 10-ciu członków się zabiera utworzyć osobną filię.

W danym razie zechce delegat przysłać wydziałowi imienny spis członków, a wydział sam postara się o zezwolenie Namiestnictwa. Filia wybiera sobie swego przewodniczącego, sekretarza i wydział, z wkładek zebranych zatrzymuje pewną część na własne wydatki, a resztę odsyła wydziałowi głównemu. Z zawiązaniem filii ustaje urząd delegata, gdyż ten najważniejsze swe zadanie spełnił.

Geograficzny zasiąg łosia ongi i dzisiaj.

Przez

PROF. BRONISŁAWA GUSTAWICZA.

W trzecim roczniku „Przyrodnika“ (Lwów, 1873, str. 212 do 220) umieściłem artykulik pod powyższym tytułem, opracowany na podstawie monografii J. Fr. Brandt'a:[1]) „Beiträge zur Naturgeschichte des Elens“ (Petersburg. 1870). Od tego czasu upłynęło przeszło ćwierć wieku, a w państwie tego pięknego i wspaniałego zwierzęcia zaszły znaczne zmiany mianowicie w jego geograficznym zasięgu. Opierając się tedy na najnowszych wiarygodnych sprawozdaniach łowieckich, jużto niemieckich, już też rosyjskich, następnie na dziełku Koeppena: „Beiträge zur Kenntnis des russischen Reiches“ (Petersburg. 1883), tudzież na rozprawie C. Grevégo z Moskwy: „Die geographische Verbreitung des Elens einst und jetzt“, drukowanej w Miesięczniku „Der Zoologische Garten“ (Frankfurt a. M. 1898. Zesz. 10. i 11.), przedstawiam ponownie obraz geograficznego zasięgu łosia, jaki był ongi, a jaki jest dzisiaj.

Dawnymi wieki łoś zamieszkiwał niemal całą Europę krom południowych jej półwyspów. Dziś atoli zachodnie i południowozachodnie jej kraje nie znają go wcale. Ale szczątki wydobywane z pokładów czwartorzędnych, t. j. dyluwialnych i aluwialnych czyli napływowych, świadczą, że był mieszkańcem tych

---

[1]) Jan Fryderyk Brandt, ur. 25. maja 1802 w Jutroboku (Jueterbogk) w Braniborskiem, um. 15. lipca 1879 w Petersburgu; od r. 1832 profesor zoologii w uniwersytecie petersburskim i dyrektor muzeum zoologicznego przy petersburskiej Akademii Nauk. Liczne prace jego wchodzą w zakres zoologii, zootomii, zoogeografii i paleontologii.

ziem. Najdalej na południe posunięty kraj, w którym łoś ongi przebywał, jest Lombardya. W ile dyluwialnym znaleziono tutaj rogi jego wraz z kośćmi żubra[1]). Posiada je muzeum przyrodnicze imienia Jana Krystyana Senkenberga[2]) w Frankfurcie nad Menem.

W Szwajcaryi żył łoś jeszcze podczas wojen punickich (264—146 przed Chr.), jak świadczy Strabon[3]). Rogi jego znajdowano koło Wertensteinu w kantonie lucernskim na roli w niewielkiej głębokości, koło Gotthausu w kantonie turgowskim[4]), wreszcie w sąsiedztwie budowli nawodnych z okresu kamiennego na przestrzeni od Pfaeffikonu, wsi położonej na południowym brzegu jeziora Zurychskiego w kantonie szwyckim, aż po Concise, wieś leżącą na zachodnim brzegu jeziora Neuenburskiego w kantonie tejże nazwy.

Jako mieszkańca Galii za czasów celtyckich wspomina łosia Pauzanias[5]). Rogi jego znaleziono dotąd koło Issyoduru[6]) w departamencie Puy-de-Dôme'skim, następnie we warstwach dyluwialnych koło miasta Niort w departamencie separskim[7]), wreszcie koło wsi Sout w departamencie karantońskim[8]) w kamieniołomach wraz z kośćmi słonia, nosorożca, rena, konia i innych zwierząt.

---

[1]) Bos urus żyje dziś tylko w puszczy białowiezkiej na Litwie. Dawniej znajdowały się żubry w Polsce i w północnych Niemczech. R. 1775 ubito ostatniego w Prusiech Wschodnich w lasach koło Tylży. W XVII. wieku za Zygmunta III. (1587 —1632) były na Mazowszu w pobliżu Warszawy. Wiele też miejsc u nas i indziej na Słowiańszczyźnie nazwanych po żubrze i turze każą się domyślać, że w ich okolicy kiedyś te zwierzęta żyły

[2]) Jan Krystyan Senkenberg, ur. 1717 w Frankfurcie n. M., um. 1772 tamże, lekarz, założyciel szpitala miejskiego z anatomicznem i chemicznem laboratoryum, botanicznym ogrodem i biblioteką.

[3]) Strabon, znakomity grecki geograf, ur. w Amazei w Poncie r. 63 przed Chr., um. w Rzymie w podeszłym wieku.

[4]) Turgovia, Thurgau.

[5]) Pauzanias, rodem z Magnezyi w Małej Azyi, żył w drugim wieku po Chr.

[6]) Franc. Issoire.

[7]) Franc. Deux-Sèvres.

[8]) Franc. Charente.

W Irlandyi znaleziony róg łosia przechowuje się w Lugdunie holandzkim [1]); inny z Chirdon-Burn widzieć można w muzeum w Newcastle [2]).

Na wyspie Man, leżącej na morzu Iryjskiem, między Anglią a Irlandyą, znałeziono także rogi łosia.

W Wielkiej Brytanii łoś żył równocześnie z turem i jeleniem wielkorogim (Cervus megaceros).

W Danii, mianowicie w torfach Zelandyi i Jutlandyi, znajdują jeszcze dziś nietylko rogi i czaszki, ale także inne części kośćca łosia.

W południowej Szwecyi, mianowicie w Skanii [3]), wydobywano z głębszych warstw torfisk dawniejszych nietylko rogi i czaszki łosia, ale czasem całe kośćce wraz z kośćmi tura, żubra, dzika i innych zwierząt najdawniejszej postaci popliocenicznej tego kraju. Zdaniem Nilssona [4]) (Skandinavisk Fauna. Lund. 1847) przybył łoś z innemi zwierzętami do Skanii z Niemiec po rozniesieniu po Europie północnej przez lody głazów granitowych pochodzących z gór szwedzkich. Według Nilssona wykopane kośćce mają świadczyć, że łoś niegdyś był większy. W pobliżu Londynu gockiego czyli Lundu w południowej Skanii przy starym klasztorze znaleziono całkiem świeże, cząściowo obrobione kości łosia. W Skanii ustawy gockie zaliczały łosia do zwierząt szkodliwych i każdemu wolno było zabijać go. Skutkiem tego wnet znikł z Gotyi zachodniej [5]).

W żadnym kraju nie znaleziono tyle kości z łosia, jak w Niemczech, przedewszystkiem w Prusiech i w Meklenburskiem, tutaj między innemi w sąsiedztwie budowli nawodnych, w Szlezwiku koło Wristu, miasteczka położonego na wschód od Itzehoë, w Brunszwiku w pokładach torfu koło

---

[1]) Niem Leyden, miasto w Holandyi.

[2]) Miasto nad rzeką Tyne w Anglii w hrabstwie Nortumbryjskiem (Northumberland).

[3]) Niem. Schonen, szwedzkie Skane.

[4]) Nilsson Swen, znakomity szwedzki zoolog i archeolog, ur. 8. marca 1787 pod Landskoroną w Skanii, um. 30. listopada 1883 w Londynie gockim (Lund); od roku 1831 profesor zoologii i dyrektor zoologicznego muzeum w Londynie gockim.

[5]) Niem. West-Gotland, szwedz. Vester-Gotland.

wioski Wechelde (w zachodniej części) i koło zamku Süpplingenburgu (w wschodniej części Brunszwiku), tudzież w jaskini przy Burgtonnie, a koło wsi Langwaden znaleziono w r. 1833 w głębokości 7 metrów róg prawy łosia; inny róg znaleziono pod Gräfenrheinfeldem, na południe od Schweinfurtu (Frankonia dolna w Bawaryi) przy regulacyi rzeki Menu. W Łużycach górnych[1]) wykopano rogi łosia w torfie w głębokości 2·7 m. koło Ober-Bellmannsdorfu, a w Łużycach dolnych w torfie koło Goleszyny[2]). Na Ślązku pruskim znaleziono 1725 r. 6—7 metrów głęboko w winnicy pod Masselem, koło Trzebnicy, kościec łosia. Niemal w sto lat później znaleziono w okolicy wsi Wittgendorfu na północ, od miasta Szprotawy[3]), w regencyi lignickiej, w warstwie marglu, nad którą leży 2·7—3·5 m. gruba warstwa torfu, dalej 4[illegible] cm. gruba warstwa piasku i 8 cm. ziemi rodzajnej, prócz resztek mamuta, wołu, rena i jelenia wielkorogiego także ułamek rogu młodego łosia obok olbrzymiego, prawie zupełnego rogu starego łosia. Koło Bolesławia[4]) na tymże Ślązku znaleziono w grobie pogańskim szczątki rogu łosia wraz z popielnicami. Dosyć dobrze zachowaną czaszkę łosia z połamanym rogiem znaleziono w r. 1854 w okolicy Elbląga na polu koło Schwansdorfu przy kopaniu rowu na młynówkę w głębokości 4 metrów. Z oparzyska lauenbageńskiego koło Strausberga, na wschód od Berlina, w Marchii Braniborskiej[5]), wydobyto także ciężki róg łosia. W Berlinie zaś znaleziono róg łosia przy budowie domu, a inny przy zakładaniu kolejowego dworca hamburskiego. W torfisku pod Linum na zachód od Kremmen, również w Braniborskiem, i pod Wolmirstedtem na północ od Magdeburga znaleziono także szczątki łosia. W Obersteier znaleziono je wraz z szczątkami jelenia i niedźwiedzia jaskiniowego.

Z prowincyj nadbałtyckich znane są szczątki łosia z Felina w Inflantach i z okolicy Pyhalepu al. Bühelapu na wyspie Dagoa (Dagö, Dadgen), na północ od Ozylii (Oesel).

---

[1]) Niem. Ober-Lausitz.

[2]) Niem. Golssen.

[3]) Niem. Sprottau.

[4]) Niem. Bunzlau.

[5]) Braniborsko czyli Brandenburgia, prowincya królestwa pruskiego, ze stolicą Berlinem.

Z ziem zawiślańskich znane są wielkie rogi łosia, znalezione na błotnistym brzegu Bugu pod Wyszkowem w gubernii warszawskiej (pow. pułtuski), inne zaś wraz z szczątkami czaszki z nad rzeki Świszcza w gubernii grodzieńskiej na Litwie.

W obrębie carstwa rosyjskiego wspominają szczątki łosia w gubernii pskowskiej, następnie w r. 1765 w Ingryi [1]) znaleziono czaszkę z rogami, potem czaszkę z powiatu nerechockiego [2]), tudzież szczątki wykopane w guberniach charkowskiej, woronezkiej, kurskiej, orłowskiej, tambowskiej i symbirskiej.

Na Węgrzech znajdowano rogi łosia w rzece Cisie i indziej.

W Syberyi znaleziono rogi i inne szczątki łosia w górach Ałtajskich i w jaskiniach Czaryskich w Tybecie górnym.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rady gospodarskie.

Obrączka do prowadzenia buhajów. Właściciel dóbr na Ślązku pruskim, Keisler wynalazł obrączkę do prowadzenia buhajów, przy zakładaniu której nie trzeba wcale przebijać przegrody nosowej. Obrączka ta składa się z dwóch części złączonych silną sprężyną, zbliżającą do siebie wolne końce zakończone główkami. Otwarcie się obrączki zaś nie dopuszcza postronek przeciągnięty przez obydwa oczka, bezpośrednio nad sobą leżące w położeniu zamkniętem obrączki. Obrączkę zakłada się bardzo łatwo, szybko i bez bólu dla zwierzęcia w następujący sposób: Palce wskazujące i środkowe obu rąk zakłada się od środka w lewą i prawą połowę obrączki, wielkie palce opiera się o środkowy guzik i rozciąga obrączkę, o ile się da najmocniej. Wówczas druga osoba bierze rozciągniętą obrączkę w ręce, wkłada lewy koniec w lewy otwór nosowy, a następnie prawy koniec w prawy otwór. Podczas tej operacyi trzecia osoba powinna trzymać buhaja na postronku i podawać mu kawałek

---

[1]) Niem. Ingermanland.

[2]) Nerechta, miasto powiatowe gubernii kostromskiej, nad rzeką Nerechtą, lewym dopływem Sołomicy, wpadającej do Wołgi z prawego brzegu.

chleba. Obrączka po założeniu trzyma się w nosie bardzo mocno i nigdy nie może się otworzyć Postronek przeciągnięty przez oba oczka służy do prowadzenia buhaja. Cena obrączki wynosi 4 k.

Zatrucie koni zanieczyszczonym jęczmieniem. W majątku ks. Kantakuzena zasłabło sześć koni, z tych trzy zdechły po 24-godzinnej chorobie, jeden w 36 godzin, a dwa po kilkunastu dniach. Z objawów chorobowych wystąpiły głównie: osłabienie zadniej części ciała, utrata apetytu oraz przyśpieszenie pulsu i oddechu. Wszystko to z góry wskazywało na zatrucie. Sekcya wykonana na jednym z najwcześniej padłych koni nie dała wyraźnych wskazówek. Ponieważ konie te żywiono poślednim jęczmieniem nieprzydatnym do wyrobu słodu, zwrócono właścicielowi uwagę na to, że ta karma może być przyczyną choroby. Pomimo powątpiewania, aby tak było w istocie, posłano zadawany koniom jęczmień do zbadania w zakładzie dla kontroli środków spożywczych w Monachium, równocześnie zaś badano, czy przyczyną badania koni nie jest wąglik. To ostatnie przypuszczenie okazało się nieuzasadnionem, natomiast z zakładu w Monachium nadeszło orzeczenie, że jęczmień był mocno zanieczyszczony nasionami różnych chwastów w szczególności kąkolem, a oprócz tego zawierał dużo sporyszu. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa owe zanieczyszczenia znajdujące się w jęczmieniu były przyczyną zatrucia. (*Berliner Thierärztliche Wochenschrift*).

Sprawy Towarzystwa.

Niejednokrotnie pojawiały się w dziennikach wzmianki o nijakim p. Dygdalewiczu, mieszkającym w Zamarstynowie, który mając koncesyę na zabijanie koni, wykonywać miał swe rzemiosło w barbarzyński sposób.

Wydział przedsięwziął dochodzenia i przekonał się, że rzeczywistość przechodzi jeszcze znacznie to, co do wiadomości ogółu się postało. Wnieśliśmy więc podanie do c. k. Starostwa i mamy, jak sądzimy, niepłonną nadzieję, że ono przychyli się do naszej prośby i położy kres temu. — Podanie nasze brzmi:

Wysokie c. k. Starostwo!

Już od dłuższego czasu dochodziły do Wydziału gal. Towarsystwa obhrony zwierząt wiadomości, że obywatel wsi Zamarstynów pan Dygdalewicz (vel. Dyhdalewicz) dopuszcza się różnych okrucieństw przy zabijaniu koni. Dzienniki codzienne umieszczały kilkakrotnie opisy tego karygodnego postępowania, a było to tak oburzające, że trudno było uwierzyć, że coś takiego w najbliższej odległości od stolicy kraju pod okiem władz dziać się może.

Gal. Towarzystwo ochrony zwierząt rozpoczęło więc robić dochodzenia, by przekonać się, o ile owe doniesienia są prawdziwe, a rezultat tego był przerażający i przeszedł wszelkie granice możliwości.

Pan Dygdalewicz posiada koncesyę do zabijania starych i chorych koni. Skupuje on je z różnych stron, tak że nieraz kilkadziesiąt sztuk się nazbiera. Nie uważa on za stosowne je żywić przez ten czas, nim kolej śmierci na nich przyjdzie, tak, że nieraz kilka dni w głodzie w ogrodzeniu przebywają, wystawione na słotę, śnieg lub mróz.

Zabijanie koni odbywa się w bardzo prymitywny, a wprost oburzający sposób. Bije on je pałką w głowę, odurzając je tym sposobem tylko, zostawiając tak odurzonego konia swemu losowi, dopóki ten po pewnym czasie sam nie zginie. Co gorsza, bardzo często postępuje w jeszcze bardziej barbarzyński sposób. Oto mając szereg koni przed sobą, wbija każdemu w piersi nóż i broczącego krwią puszcza wolno, by tak powoli krew upływała, konie tak pokaleczone biegają po placu, tarzają się po ziemi we własnej krwi, dopóki powolna śmierć nie uwolni je od męczarni. Wszystko to odbywa się pod gołem niebem, obok drogi, a mieszkańcy wsi widzą to, wywołuje on przez to zgorszenie publiczne, a oburzenie na niego w całej wsi jest wielkie. Niestety wie o tych bezprawiach bardzo dobrze naczelnik gminy, wie o tem zgorszeniu publicznem, ale z niewiadomych nam powodów pozwala na te okrucieństwa. Do jakiego zdziczenia doszło to tam, dowodem fakt, że parobek p. Dygdalewicza, za karę, że koń mu zjadł pół bochenka chleba, leżącego pod płotem, pchnął go tylko lekko nożem, by dłużej się męczył.

Plac, gdzie to brutalne mordowanie ogromnych ilości koni prawie co tygodnia się odbywa jest tak przesiąknięty krwią, że

na placu tym potworzyły się w lecie i jesieni wielkie krwawe bagna, a gnijąca krew zanieczyszcza powietrze na znacznej przestrzeni.

Ważnym faktem już wprost niebezpiecznym dla zdrowotności Lwowa jest to, że p. Dygdalewicz sprzedaje mięso zabitych koni tutejszym masarzom na karmę dla świń, bez żadnej kontroli czy przypadkowo zabity koń nie był chory, a nawet może na zakaźną chorobę.

Na udowodnienie tych karygodnych czynów prosimy zawezwać na świadków: pp. . . . . zamieszkałych we wsi Zamarstynowie.

Opierając się na tych faktach prosi Wydział gal. Towarzystwa ochrony zwierząt Wysokie c. k. Starostwo:

1) zechce po zbadaniu faktów odebrać p. Dygdalewiczowi udzieloną koncesyę, a potem

2) odstąpić akta c. k. Sądowi karnemu, by p. Dygdalewicz za „zgorszenie publiczne wywołujące dręczenie zwierząt“ na mocy rozp. minist. z 15. lutego 1855 dziennik praw państwa Nr. 831 ukarany został.

Wysokie c. k. Starostwo zechce być przekonane, że Wydział lekkomyślnie z tak ciężką skargą nie wystąpił, lecz sumiennie przedtem sprawę zbadał. Staramy się jak najmniej naszemi sprawami Władze zajmywać, załatwiając, co można we własnym zakresie. W tem dziesięciołeciu jest to pierwsza skarga, z którą przed Wysokie c. k. Starostwo występujemy, dla tego mamy niepłonną nadzieję rychłego i pomyślnego zakończenia tej smutnej dla ludzkości i dla naszej naszej oświaty sprawy, przekonani, że Wysokie c. k. Starostwo da zupełną satysfakcyę obrażonym uczuciom ludzkości.

We Lwowie dnia 16. stycznia 1890.

Przewodniczący. Sekretarz.

Ponieważ niejednokrotnie skonstatowano, że wozy tramwajowe, osobliwie ze stacyi kolejowych wyjeżdżają tak obładowane, że jeden koń ruszyć nie może i nawet w biegu ustaje, wnieśliśmy odpowiednie przedstawienie do Dyrekcyi tramwaju, prosząc o zaradzenie złego, otrzymaliśmy następującą odpowiedź:

Tramway de Léopol.

J. No. 57. Leopol, le 18. stycznia 1900.

Szanowne Galicyjskie Towarzystwo ochrony zwierząt
we Lwowie, plac Bernardyński, 7.

W posiadaniu Szac. pisma z dnia 29. grudnia 1899 pozwalamy sobie donieść najuprzejmiej, że wydano rozporządzenie, ażeby w czasie przyjazdu pociągów od przystanku oznaczonego w Szac. piśmie nigdy jednokonne wozy nie dojeżdżały.

Z wysokim szacunkiem
Dyrekcya ruchu tramwaju lwowskiego.
Podpis.

Filia nasza w Jaśle rozwija się pod energicznem przewodnictwem p. Antoniego Kleczkowskiego bardzo pomyślnie, liczy ono teraz do 90 członków. Tylko ona jedna przesłała sprawozdenie za rok ubiegły, które poniżej umieszczamy.

Do
Szanownego Wydziału gal. Towarzystwa ochrony zwierząt
we Lwowie.

Niniejszem przesyłamy sprawozdanie z dotychczasowej naszej działalności, od czasu założenia filii t. j. od 1. lipca do 31. grudnia 1899 r.

Członków zwyczajnych zapisało się 66,
Z tych 1 umarł, a 3 wyjechało, pozostało zatem do z dniem 31. grudnia 1899 r. 62.

Za statuty wpłynęło do kasy	6 zł.	66 ct.
Wkładki członków od 1. lipca do 31. września	15 „	90 „
„ „ „ 1, października do 31. grudnia 1989	19 „	20 „
Ogólny dochód do 31. grudnia 1899 . .	41 zł.	70 ct.
Z tego wydano na książki, pieczątkę, woźnemu i inne drobne w, datki . -	9 zł.	34 ct.
Do Lwowa posłano	25 „	— „
Na Mszę św. za duszę ś. p. Żelezińskiego, byłego naszego skarbnika	2 „	— „
Gratyfikacye noworoczne dla policyi, stróżom i woźnemu	5 „	60 „
Razem wydano . .	41 zł.	94 ct.

Dotychczas kilkakrotnie skutecznie interweniowaliśmy w wypadkach udręczenia zwierząt, z czego czterech zostało ukaranych przez Magistrat tutejszy na grzywny pieniężne.

Odbyliśmy dotychczas cztery posiedzenia Wydziału i na ostatniem posidzeniu wybraliśmy delegatem pana Jana Małuszewskiego.

Dotychczas otrzymaliśmy ustawy, statuta, kartki legitymacyjne i Miesięczniki za Maj, Czerwiec, Lipiec, Sierpień, Wrzesień i Październik.

Dziękując uprzejmie za dotychczasową pomoc, upraszamy i nadal o opiekę nad naszą filią

Jasło 8. stycznia 1900.

Antoni Kleczkowski
Prezes.

Kazimierz Kłosiński
Sekretarz Tow.

Rozmaitości.

Zmiana przekonań politycznych papugi. Brukselski „Petit bleu“ opowiada następującą zabawną historyę: Królowa belgijska, chcąc uszczęśliwić dziecko jednego z wyższych dostojników podarkiem gwiazdkowym, rozkazała kupić na ten cel dobrze wytresowaną papugę. Kiedy przyniesiono ptaka do pałacu królewskiego, służba dworska ku niesłychanemu swemu zgorszeniu usłyszała, jak papuga poczęła wołać: „A bas le roi de carton! Vive la republique!“ Radykalne przekonanie polityczne papugi oburzyło do tego stopnia służbę pałacową, iż postanowiono udusić papugę. Na szczęście interwencya królowej Henriety uratowała od śmierci biednego ptaka, który powtarzał bezmyślnie okrzyki, zasłyszane podczas ostatnich rozruchów ulicznych. Królowa poleciła oddać papugę jej wychowawcy, a ten zawstydzony fatalnym popisem swej pupilki wziął się gorliwie do gruntownego przekształcenia jej zasad politycznych, co mu się też powiodło, gdyż w dzień Nowego Roku przyniesiony przez niego do pałacu ptak wołał już: „Vive le roi! Vive la reine!“

Drogie muchy. W Petersburgu, w sądzie pokoju 30 rewiru, rozstrzygana była niedawno oryginalna sprawa. W restauracyi Jegerowa trzej goście kazali sobie podać parę butelek piwa. Podano piwo z browaru „Nowa Bawarya“. Otóż w jednej z butelek goście znaleźli aż 4 zlepione w kupkę nieżywe muchy.... Rzecz oparła się o policyę, a ostatecznie przed sądem stanął dyrektor browaru Durdin, pod zarzutem nieschludności w przyrządzaniu zapasów żywności. Durdin skazany został z art. 116 ust. karnej na 25 rubli kary. W ten sposób muchy wypadły mu bardzo drogo: sztuka po 6 rubli 25 kop.

Mrożone króliki. Przez długi czas tępiono w Australii króliki, jako niszczycieli pól, aż do' iero w ostatnich czasach utworzono z tego osobną gałęź przemysłu. Oto założono kilka fabryk, które zajmują się preparowaniem królików i w stanie mrożonym wysyłają je jako produkt spożywczy całymi masami za granicę.

W r. 1898 wyyieziono z samej Nowej Zeelandyi 2,250.000 królików mrożonych i 7,750.000 skórek. Rolnicy z nowego tego przemysłu wcale nie są zadowoleni, gdyż zamiast doszczętnego wytępienia, objawla się obecnie tendencya ochrony rodu króliczego.

Osobliwe drzewko. W Petersburgu, jak donosi „Syn Otieczestwa", opiekun leczniczy Towarzystwa opieki nad zwierzętami, niejaki p. Łoszkarew, urządził drzewko, na którem prócz świeczek wisiały podarki dła chorych zwierząt, znajdujących się na kuracyi w lecznicy. Na choince znajdowały się: kiełbaski, pierniki, bułki, orzechy i jablka, przeznaczone dla psow, kotów, papug, jakoteż innych ptaków. Czworonodzy i skrzydlaci pacyenci wyrażali po swojemu radość na widok p·zysmaków, które rozdawali im do klatek zaproszeni na tę uroczystość ich właściciele. Niektóre zwierzęta miały wszakże smutne miny, gdyż będąc skazane przez swych lekarzy na ścisłą dyetę, nie otrzymały żadnego pożywienia.

Między innymi gośćmi przybył też do lecznicy kontradmirał Csirikow, obecny prezes petersburskiego Towarzystwa opieki nad zwierzętami i wielki ich przyjaciel. Lecznica dla zwierząt urządzona jest wzorowo: wszystkie zwierzęta oddawane na kuracyę, są ubezpieczone na wypadek ognia, a weterynarze i służba asekurowani są od nieszczęśliwych wypadków ukąszenia i poranienia przez zwierzęta. Weterynarze i personal służbowy lecznicy, gdy ulegli poranieniu, otrzymują dożywotnią pensyę, dzienne odszkodowanie, lub też jednorazową zapomogę, odpowiednio do mniej lub więcej znacznych uszkodzeń ciała.

Niezwykły handicap. W Bostonie, z inicyatywy i sumptem dziennika „New York World", odbył się wyścig bardzo oryginalny, do startu bowiem stanęły: słoń, wielbłąd, koń, bicykl i samochód. Słoń i wielbłąd, wzięte z menażeryi, kierowane były przez osobnych przewodników; na koniu siedział dżokiej, na bicyklu jechał fachowy wyścigowiec, w samochodzie zaś właściciel wehikułu, a zarazem jego budowniczy. Dystans wynosil pięć kilometrów. Słoń i wielbłąd dostały pół mili angielskiej *for* od samochodu, któremu znów koń i bicykl dały $^1/_3$ mili *for*. Zwycięzcą wyścigu był słoń w 6 m. i 20 sekund. Drugie miejsce zajął rower, trzecie zaś samochód.

Elektryczne osobliwości. W swoim rodzaju ciekawym wynalazkiem jest bicz elektryczny pomysłu pewnego technika z Ohio ochrzony przez wynalazcę mianem „humanitarnego bicza". Aparacik składa się z małej bateryi, umieszczonej pod kozłem, od bateryi idzie drut przez całą długość konia, aż do uprzęży, na jego końcu przytwierdzono mały łabędzik, który raz napojony słoną wodą, zatrzymuje swoją wilgoć wskutek naturalnej ciepłoty konia. Woźnicy siedzącemu

na koniu wystarczy nacisnąć tylko guzik, aby prąd elektryczny swojem niemiłem działaniem zachęcił leniwe zwierzę do szybszego tempa.

Postęp i humanitaryzm nawet w biczach. Od rzymskiego pręta zaostrzonego na końcu, którym kłuto uporne zwierzę, aż do delikatnych elektrycznych środeczków!

Napad kruków. Nadzwyczajny wypadek przytrafił się w miejscowości Roymeix w pobliżu Paryża. Był to napad zbiorowy kruków na człowieka. Jakby na dane hasło: „wspólną mocą:“ niezliczone mnóstwo ptaków, rzuca się na rybaka, który po połowie szczęśliwym z workiem pełnym ryb w ręku, powraca do domu. Kruki zwietrzyły smaczne kąski, a nie mogąc się do nich dostać, postanowiły łup rybakowi odebrać. Natarcie było zgodne i z taką wykonane siłą, iż człowiek walce tej z setkami ptaków rady sobie dać nie mógł i uległ. Kruki zaczęły najpierw dzióbami uderzać w worek, kiedy zaś człowiek ryb nie puszczał, ptaki skrzydłami uderzały na niego: napróżno się bronił rękami i krzyczał, coraz większa liczba kruków nadlatywała zewsząd i kaleczyła go dzióbami. Poraniony, zmordowany, w strasznym o siebie strachu, rybak zaczął uciekać ku wiosce, byłby jednak z życiem może nie uszedł przed skrzydlatymi rozbójnikami, gdyby nie rzucił worka, ryby z niego wysypały się, a kruki pomiędzy sobą zdobycz podzieliły. Ciężką niemocą przepłacił rybak to spotkanie z ptakami, które pozazdrościły mu łupu, odbiły mu go i jeszcze krwawą pozostawiły pamiątkę.

Napad orła W Prusiech wschodnich zdarzył się niedawno niezwykły wypadek. Pewna kobiecina poszła do lasu zbierać jagody, zabrawszy z sobę czteroletniego synka, którego usadziła nad brzegiem lasu. Gdy już dość głęboko zapuściła się w las, usłyszała zaraz jakiś przeraźliwy krzyk dziecka. Pospieszyła więc czemprędzej z powrotem nad brzeg lasu, gdzie oczom jej przedstawił się straszny widok. Postrzelony w skrzydło orzeł pastwił się nad biednem jej dzieckiem Nie mogąc sama dzikiego ptaka odpędzić, przywołała inne niewiasty, przy których pomocy udało się jej orła zabić. Dziecko jednakże tak zostało pokaleczone, że w drodze do domu na zękach strapionej matki umarło.

Walka z niedźwiedziem. Przed kilku miesiącami zdarzył się w ogrodzie zoolognicznym w Sztokholmie następujący wypadek. Dwa niedźwiedzie pomieszczone w olbrzymiej klatce, uczuły nagle jakąś nienawiść do swego dozorcy i kilkakrotnie usiłowały się rzucić na niego, tak, że ten w obawie o życie wchodził do klatki uzbrojony i w towarzystwie swego pomocnika. Gdy więc raz wszedł w podobny sposób, rzuciły się na niego obydwa niedźwiedzie. Pomocnik umknął ze strachu, a dozorca wskoczył do wielkiej kadzi napełnionej wodą. Niedźwiedzie za nim i we wodzie rozpoczęła się straszna walka. Na krzyk nieszczęśliwego, zbiegli się inni dorozcy i wydobyli go z objęć rozjuszonych zwierząt, ale w okropnym stanie, bo na ciele jego znajdowało się trzydzieści głębokich ran.

Z drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stan. Baylego.